

BEATA MAJEWSKA



Jego

WRÓG

BEATA MAJEWSKA

Jego
WRÓG

MIRAZ

Redakcja: Paulina Zyszczak – Zyszczak.pl
Skład DTP: Andrzej Zyszczak – Zyszczak.pl
Korekta: Kinga Dąbrowicz – Zyszczak.pl
Projekt okładki: Ilona Gostyńska-Rymkiewicz – Ilonadesign.pl
Zdjęcie autorki: Samuel Kubarek
Źródła grafik:
strona tytułowa – prometeus (depositphotos.com)
ostatnia strona okładki – Photographee.eu (stock.adobe.com)
logo Wattlepad – Pixel perfect (flaticon.com)
zdobienia – Better Your Life (vecteezy.com)
Druk: Drukarnia Abedik SA

Zamówienia hurtowe: biuro@infobis.pl
Dystrybutorzy:
L&L Firma Dystrybucyjno-Wydawnicza – <https://ll.com.pl/>
Platon Sp. z o.o. – <https://www.platon.com.pl/>
Ateneum – <https://www.ateneum.net.pl/>
Księgarnia: www.dobrarada.com.pl

Copyright © Beata Majewska
Copyright © INFOBIS Rafał Głąb / Wydawnictwo Miraż, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

Wydanie I
ISBN 978-83-962673-1-3



Śledź mnie na Facebooku:

<https://www.facebook.com/AugustaDocher>



Od autorki

Nazwiska, daty i niektóre dane, takie jak nazwy hoteli, klubów i restauracji, zostały zmienione dla bezpieczeństwa osób opisywanych w książce. Żeby zapewnić bohaterom jeszcze większą anonimowość, akcja powieści jest osadzona w czasie bliżej nieokreślonym, a wszelkie fakty historyczne oraz powszechnie znane okoliczności o charakterze politycznym, kulturalnym i innym, które nie miały znaczącego wpływu na przebieg wydarzeń, zostały albo pominięte, albo umieszczone na osi czasu niezgodnie z ich prawdziwą chronologią.

W trakcie pisania korzystałam nie tylko z notatek, lecz także z licznych opracowań na temat Bliższego Wschodu.

Prolog

Dzień taki, że psa nie wygonisz. Zimno jak diabli i pada. Typowy polski listopad – nic, tylko wleźć pod koc z książką albo smartfonem i czytać. Ewentualnie spać. Inna rzecz, że mój pies nawet w najgorszą pluchę czy mróz jest chętny na wycieczki. No ale nie ma go tutaj, w hotelu. Na szczęście. Obawiam się, że po jego odwiedzinach apartament nadawałby się do generalnego remontu, podobnie jak korytarz i winda, o ile Hugo w ogóle wszedłby do kabiny.

Wyglądam przez okno. Kraków zasnuty jest mgłą. Nad dachami budynków wiszą ciężkie chmury, z których siąpi jesienna mżawka. Gdyby nie jaskrawe oświetlenie Galerii Krakowskiej, pomyślałabym, że oglądam świat w czarno-białym odbiorniku telewizyjnym. Zerkam na zegarek. Zostało jeszcze trochę do przybycia Izy. Już prawie pozbyłam się lęków, że mnie wystawi. To nasze trzecie osobiste spotkanie, tych przez komunikatory nie zliczę. Jedyne obawa to taka, że minęło sporo czasu od poprzedniej rozmowy *face to face*.



Co jeśli Iza mnie zawiedzie? Pójdę na zakupy – to na pewno. A potem wrócę do domu. Przecież świat się nie zatrzyma z tego powodu. Pocieram lewy bark, ciągle mnie boli. To już drugi etap mojej przeklętej choroby zwanej zespołem zamrożonego barku. Nie życzę najgorszemu wrogowi. Cholerstwo, nie dość, że trwa trzy lata, to jest wyjątkowo bolesne. Postanawiam zażyć coś przeciwbólowego. Nie wytrzymam bez prochów. Trudno, będę przytulona, ale przynajmniej nie będzie boleć.

Rozpuszczam tabletkę musującą i wypijam lek. Tyle miesięcy, a to świństwo ciągle budzi we mnie obrzydzenie. Jakbym wypła proszek do prania. Odstawiam szklankę i krzywię się niemiłosiernie. Ohyda. Nagle coś, a raczej ktoś przerywa mi kontemplację smaku lekarstwa. Od razu podbiegam do drzwi. No jest! Moja ukochana Iza! Moja gwiazda, muza, źródło inspiracji. Chodząca fabuła w ludzkiej postaci.

Witamy się bardzo wylewnie. Izka wchodzi do pokoju, siada na fotelu, ale prawie od razu wstaje i zmyka do łazienki. Ja w tym czasie szykuję poczęstunek. Zamówiłam dla nas dzbanek herbaty i coś ciepłego do przekąszenia – camembert ze szpinakowym pesto zapiekany w cieście francuskim. Brzmi nieźle, oby smakowało równie dobrze. Iza wraca i rozsiada się wygodnie w fotelu.

– Ciągle palisz? – pyta, patrząc na paczkę papierosów R1 leżącą na blacie stolika.

– Palę, palę. Nie piję, nie narkotyzuję się, to chociaż tyle. – Mrugam do niej.



Z tymi narkotykami to nie do końca prawda. Lek, który przed chwilą wypiałam, zawiera coś, za co pewnie przyskrzyniliby mnie na amen. Oczywiście nie w Polsce, tylko w Dubaju. Jak Izkę. Nie ma to tamto, w mojej krwi muszą być konkretne ślady zabronionych substancji, chociaż o ile mi wiadomo, da się wjechać do ZEA nawet na lekach, byleby mieć zaświadczenie od lekarza.

– Pięknie wyglądasz. – Patrzę na nią, nie kryjąc zachwytu. – Chyba się trochę zaokrągliłaś.

– Trochę? – Przeczesuje włosy. Już nie są takie jasne jak wtedy, gdy ją pierwszy raz ujrzałam. Przyciemniła odrost, ma modny, ciepły, orzechowy odcień, a jasne kosmyki przeplatają się z nieco ciemniejszymi. – Równe dziesięć kilo. To nie jest trochę. – Chichocze.

– Oj tam, oj tam. Ale poszło w cycki.

– Tak, w cycki też. – Spuszcza wzrok na swój bujny biust ukryty pod ciemnobordową dzianiną sukienki. – W tyłek i w brzuch. Sama popatrz. – Dotyka niezbyt wydatnej fałdki. – Ważę sześćdziesiąt pięć kilo. Mój rekord.

– Chciałabym mieć takie rekordy. – Wzdycham, a ona się śmieje.

Jest radosna i jakaś taka... nie umiem tego określić. Promienna? Spokojna? Gdy pomyślę, że nasze ostatnie spotkanie zakończyło się dramatyczną relacją z jej aresztowania na lotnisku w Dubaju, wierzyć mi się nie chce, że mogła się z tego wyplątać i siedzi tutaj, przede mną, wolna,



szczęśliwa i beztroska. O tak, to właściwe słowo: „beztroska”.

– Jak rozumiem, u ciebie wszystko w porządku – mówię.

– Tak. Jest dobrze. – Kiwa głową.

– Nareszcie?

– No nie. Już wcześniej było dobrze, a teraz jeszcze lepiej. Mam nadzieję, że to się nieprędko zmieni.

– Ja też. – Wyciągam rękę i ściskam jej przedramię. – Cieszę się, że jesteś.

– To zaczynamy? Mam czas do ósmej.

– Zaczynajmy...

Rozdział 1

Nie wiem, dlaczego tak się na mnie uwzięli. Przebadali moją krew, włosy, mnie całą. Przepytali, prześwietlili, a wszystko z podejrzliwymi minami, jakbym była najgorszą zbrodniarką na świecie. Nie, nie jestem zbrodniarką, raczej ofiarą własnej głupoty i naiwności. Nie handluję narkotykami, nie zajmuję się ich przerzutem. Zostałam wrobiona.

Ale oni dalej swoje. Nic, tylko „przyznaj się” i „przyznaj”. Nie przyznam się do czegoś, czego nie uczyniłam. Twardo obstaję przy swojej niewinności. To ich wkurza. Próbują i po prośbie, i po groźbie, ale w końcu odpuszczają. Jeszcze dzisiaj rano, w areszcie na lotnisku, gdzie przebywałam prawie tydzień, karmiłam się nadzieją, że wygrałam. Zwolnią mnie i odeślą do Polski z dożywotnim zakazem wstępu na teren Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Tak myślałam.

O ja głupia...

Przewieźli mnie do więzienia. Do prawdziwego więzienia – takiego z celami, kratami, strażnikami



i osadzonymi tkwiącymi tu przez długie lata. Osiedlają wieloletnie wyroki, a niektórzy czekają na śmierć. Co czeka mnie?

Kiedy kończy się upokarzająca procedura przyjęcia mojej skromnej osoby na oddział kobiecy, czuję się jak ostatnia szmata, którą ktoś powycierał najbrudniejsze kąty. Ale to dopiero początek...

Moja cela to przedsionek piekła. Albo ucielesnienie czyścica. Wchodzę do środka i zamieram z przerażenia. Stoję jak sparalizowana, dopiero huknięcie metalowych drzwi za moimi plecami sprawia, że podskakuję. Muszę nad sobą zapanować, nie poddać się panice. Inaczej będzie po mnie. Biorę kilka głębokich wdechów, zadzieram głowę i patrzę na jedyne, przynajmniej w tym momencie, źródło światła. Pada przez niewielki otwór w ścianie. Za nim są wolność i życie.

Prowizoryczny świetlik umieszczono wysoko, co najmniej pięć metrów od poziomu kamiennej posadzki. To zwykła dziura w ścianie, bez oszklenia. Do środka wpada powietrze pełne drobinek pyłu z pustyni. Wirują w wąskiej smudze światła, tańczą, przyciągają wzrok. Stoję i gapię się na ten jedyne przejaw ruchu. „Oddychaj, oddychaj” – powtarzam w głowie. Jeśli ulegnę panice, umrę. A ja tak bardzo chcę żyć. Muszę żyć, muszę przetrwać dla mamy i Tomka, dla moich bliskich.

Rozglądam się. Nic tutaj nie ma. Nie ma stolika, krzesła, szafki, półki, lampki. Żadnych mebli, chyba że za umeblowanie uznać siennik, umywalkę



i wąską muszlę klozetową. Swoją drogą, aż dziwne, że zamontowali muszlę, a nie poprzestali na dziurze w podłodze. Podchodzę do umywalki i przekręcam kurek. Przez chwilę nic się nie dzieje. Już ogarnia mnie strach, że umrę z pragnienia, lecz wtedy coś charczy w rurkach i pojawia się rdzawa ciecz. Odkręcam kurek do oporu, żeby spłynęła. Oddycham z ulgą. Woda jest coraz czystsza, aż w końcu wygląda na tyle dobrze, że ochlapuję nią twarz i nawet wypijam kilka łyków.

Mam wodę. To dobra wiadomość. Jeden zero dla mnie.

W celi cuchnie, źródłem odoru prawdopodobnie jest toaleta. Jeśli spłuczka nie działa, mogę spłukiwać ją wodą z umywalki. Poproszę o butelkę, może ktoś będzie łaskawy i da mi jakieś naczynie, a jeśli nie, może dostanę posiłek w czymś, czym da się zaczerpnąć wody.

Z trudem wgniatam okrągły przycisk spłukiwania. Nie działa. Boże, nie wytrzymam w tym smrodzie. Żołądek podjeżdża mi do góry, kiedy patrzę na wnętrze muszli. Nawet nie próbuję odgadnąć, co jest w środku.

Mamy remis: umywalka działa, WC – nie.

To jeszcze zostaje mi do sprawdzenia moje miejsce do spania. Na sienniku leży koc złożony w kostkę. Ujmuję róg i podnoszę dwoma palcami. Nagle rejestruję jakiś ruch. Natychmiast odrzucam koc i z piskiem odskakuję do tyłu. Boże! Co to było?! Skorpion? Jeśli wlaźł przez okienko, już po mnie.



Ukaśi mnie, gdy będę spała – tylko taką mam wizję. „Boże, niech to nie będzie skorpion! Ani wąż!” – modłę się, w bezruchu obserwując rozgrzebany pled. Nie mam odwagi podejść i go ruszyć; czekam, aż to coś, co tam jest, samo wyjdzie. Zniosę mysz, ale szczura nie. To coś było małe, zatem to raczej nie szczur. Małe i szybkie.

Koc się rusza i po chwili spod jego brzegu wybiega jaszczurka. Uff... Czemu zapomniałam o tej oczywistości? Tutaj żyje pełno jaszczurek. Są nieszkodliwe, a w zasadzie bardzo pożyteczne. Zjadają owady. Obserwuję, jak mały gad przebiega przez celę i błyskawicznie wspina się na ścianę. W napięciu czekam, co zrobi moja nowa towarzyszka: czy ucieknie przez okienko, czy zostanie ze mną.

Została.

Znieruchomiała nad umywalką. Może jest spragniona? Boję się podejść, żeby jej nie spłoszyć. Mimo wszystko lepszy taki kompan w nieszczęściu niż żaden.

Ponownie zbliżam się do siennika. Tym razem już nic nie wyskakuje spomiędzy fałdów koca. Nie wiem, czy w ogóle go użyję. Jest brudny i cuchnie, ale mój nos powoli przestaje wyczuwać smród. Przyzwyczaiałam się do fetoru wydostającego się z kibla. Niestety, nie ma żadnej deski ani kłapy, dlatego na razie nie jestem w stanie nic z tym zrobić. No chyba że spróbuję przynosić wodę w dłoniach. To nawet niegłupi pomysł, przynajmniej będę mieć zajęcie.



Już mam wprowadzić w czyn swój plan, ale słyszę odgłos zbliżających się kroków, a po chwili zza drzwi dociera do mnie głośne polecenie, że mam stanąć pod ścianą i odwrócić się plecami do wyjścia. Robię dwa kroki i już jestem na tyłach celi. Śmiechu warte. Przecież to zaledwie dwa metry od drzwi. Stoję odwrócona, jak mi polecono, i czekam. Coś chrobocze i zgrzyta, potem następują dwa pacnięcia i znowu rozlega się chrobot. Ktoś odchodzi spod drzwi i zapada cisza. Odwracam się.

Dostałam jedzenie.

Podbiegam i zbieram z podłogi foliową paczuszkę i zawiniątko z papieru. W środku znajduję kilka kromek białego pieczywa, a papierem owinięto jajko na twardo i pół banana obranego ze skórki. Cóż, na bogato. „Witamy w Dubaju!” – śmieję się w duchu, patrząc na skromny posiłek. Tyle dobrego, że banan jest świeży i biały, a jajko nie śmierdzi. Chleb też jest w porządku, miękki i pachnący. Do picia nic nie podano, ale mam kranówkę. Musi wystarczyć.

Nie żebym była głodna. Przeciwnie. Mój żołądek skrzył się w kulkę rozmiarów orzeszka, ale czuję, że w tym miejscu trzeba szanować jedzenie: jeść, kiedy dają, i nie wybrzydzać. Powoli zjadam chleb, przegryzając kęsami banana i jajka. Posiłek jest skromny, ale smaczny. Zjadam wszystko, do ostatniego okruszka. Oglądam woreczek, sprawdzając, czy nie ma w nim pęknięć. Przyda się na pewno, choćby jako przenośny rezerwuar wody.



Folia jest bardzo cienka i szybko się porwie, dlatego napełniam woreczek do połowy i ostrożnie przenoszę do toalety.

Byłam w błędzie – folia okazała się wyjątkowo trwała, niestety z kibla śmierdzi gorzej niż przed całą operacją. Zawartość muszli się odmoczyła i dryfuje, roztaczając nieznośny fetor. Banan, jajko i chleb czekają w moim przelyku, by tam dołączyć. Zatykam nos i kończę prace porządkowe. Siadam na sienniku i rozglądam się za jaszczurką. Powoli zapada zmierzch i robi się coraz chłodniej. Odnajduję wzrokiem zwierzątko. Ukryło się w rogu, pod samym stropem. Ten wisi nad moją głową hen wysoko. Cela przypomina bardziej szyb windy niż pomieszczenie. Rozglądam się i dostrzegam coś nowego: niewielki wyłom pod sufitem. Oczywiście nie mogę stwierdzić nic więcej poza tym, że wgłębienie jest małe, mniejsze od umywalki. Nie ma szans się tamtędy wydostać, zresztą jest za wysoko. Może to jakaś dodatkowa wentylacja, żeby wymusić konwekcję powietrza?

Opatulam się kocem, bo zrobiło się chłodno. Panuje głucha cisza, jest coraz ciemniej, ale nie liczę nawet, że szybko zasnę, o ile w ogóle mi się to uda. Chce mi się siku, dlatego zdejmuję koc i idę skorzystać z toalety. Mam nadzieję, że nic z niej nie wylezie i nie dziabnie mnie w tyłek. Już nie czuję smrodu, widocznie mój nos doznał paraliżu komórek węchowych. Ponoć ludzie są w stanie do wszystkiego przywyknąć.



„Nie jest źle” – pocieszam się, wróciwszy na materac. „Mam legowisko, koc, wodę, kibel, dostałam świeże jedzenie, nie jest mi zimno, nie jest gorąco, przestało śmierdzieć, są okienko i wentylacja oraz jaszczurka, która zjada owady” – wymieniam w myślach wszystkie plusy. Przywołuję w pamięci całą literaturę obozową, którą przeczytałam za czasów szkolnych, i dokonuję skrupulatnych porównań. Polacy więzieni w nazistowskich obozach mieli gorzej, a niektórzy przeżyli. Byli bici i głodzeni. Ja też muszę przetrwać. Choćby nie wiem co. Usypiam ukołyszana przez modlitwę...

Mój jedyny dobytek to pięć woreczków ze śniadania i pięć z lunchu. Kolacji nie ma. Minęło pięć dni. Dziesięć posiłków, zawsze jest chleb, rano dają wołową mielonkę albo pasztet z drobiu, do tego pół banana. Na lunch też chleb, pół banana albo trzy daktyle, jedno jajko albo plaster żółtego sera. Nic do picia. Jestem głodna. Bardzo głodna. Burczy mi w brzuchu, boli mnie głowa. Jaszczurka wczoraj zniknęła. Przenoszę dużo wody w woreczkach. Nie mam mydła. Zęby myję palcem. Brakuje mi papieru toaletowego. Czuję, że moja bielizna śmierdzi. Ja cała śmierdzę. Nikt ze mną nie rozmawia. Ja też z nikim nie rozmawiam.



Mam dużo woreczków. Codziennie je liczę. Dwa się porwały, ale je też liczę. Dwadzieścia woreczków ze śniadania, dwadzieścia z lunchu. Raz dostałam pomarańczę – kwaśną i suchą, ale zjadłam całą. Umyłam łupinę i też zjadłam. Była gorzka.

– Hej, jest tam kto?

Czyjś głos wdziera się w pustkę. Nie otwieram oczu. Przecież to sen. Coś mi się śni. Ciekawe. Tutaj nic mi się nie śni, dlaczego teraz? Czekam.

– Hej! Jest tam kto?

Znowu to samo.

Podnoszę powieki. Jest jasno, za chwilę przyniosą jedzenie. Zjem chleb i nie będę głodna. Zjem...

– Odezwij się!

Słucham?! Szybko mrugam. Nie umiem się odnaleźć. Nie rozumiem. Siadam i energicznie pocieram policzki. Muszę się obudzić.

– Słyszę cię! – wybrzmiewa tryumfalnie kobiecy głos. – Hej, odezwiesz się? Nie znasz angielskiego?

– Mówię po angielsku – odważam się powiedzieć. Mój głos, prawie nieużywany od tygodni, brzmi obco i ochryple.

– No, w końcu! Mów głośniej. Ledwie cię słyszę.

– Teraz lepiej? – Wysilam gardło.

– Yhy! To kim jesteś? Ja mam na imię Hawa, a ty?

– Iza. Izabella. Jestem z Polski.



– Polska? Wiem, gdzie to jest! Prowincja Rosji. Jesteś Rosjanką?

– Nie. – Przewracam oczami. – Jestem z Polski. To inny kraj. Jesteśmy w Unii Europejskiej.

– Aha.

Wsluchuję się w ciszę. Dałabym sobie rękę uciąć, że Hawa z kimś szepcze, ale równie dobrze mogą mieć omamy. Zresztą cała nasza rozmowa może być halucynacją. Szczypię się w udo. Boli. Ale nie jakoś mocno. Boże, jaka jestem miękka. Zupełnie nie mam mięśni, jakbym została ugnieciona z ciastolinią. Dzieciaki Tomka uwielbiają zabawy ciastolinią...

– A czemu siedzisz w izolatce? – pada pytanie.

– Nie siedzę w izolatce.

– Nie?

– Nie. To cela.

– Jesteś sama?

– Tak.

– To jesteś w izolatce, jak ja. Za co cię przytknęli? Prostyucja, narkotyki?

– Ani to, ani to.

– Ej, stara... – Hawa rechocze. – Bez kitu. Nikogo nie zamykają za niewinność. Nie wstydź się.

– Nie wstydzę się, po prostu nie jestem prostytutką i niczym nie handluję. Ktoś podrzucił do mojej walizki woreczek z narkotykami.

– Szczęściara. – Hawa znowu się śmieje. – Wszyscy muszą płacić za prochy, a ty dostałaś za frajer. Daj namiary na dealera.



– Mówiłam. Nie wiem, kto to zrobił. Ktoś mnie wrabia.

– Nie takie bajki tu słyszałam.

– Nie obchodzą mnie bajki.

Powoli wstaję i podchodzę do umywalki. Odkręcam wodę, czekam, aż spłynie ta rdzawa i pojawi się czysta. Czymś muszę zapełnić żołądek, zanim dostanę śniadanie.

– Co to za odgłos? – interesuje się koleżanka zza ściany. – Masz wodę?

– Tak, a ty nie?

– Nie.

Jestem w szoku.

– Ja mam wodę w umywalce, ale nie mam w toalecie – uzupełniam. – Spłukuję wodą z umywalki.

– Ja nie mam toalety. Tylko dziurę w podłodze. Jezu...

– Naprawdę nie masz wody? To co pijesz?

– Na razie nic. Przymknęli mnie rano. To znaczy siedzę tutaj już prawie pół roku, ale dzisiaj wpięprzyli mnie do izolatki. Pierdolone gnoje. Nienawidzę ich.

Aż mi głupio, że mogę wypić tyle wody, ile chcę, podczas gdy Hawa siedzi tam spragniona i pewnie głodna. Patrzę w górę i rozważam, czy nie zdołałabym przerzucić przez otwór pod sufitem woreczka napełnionego wodą. Mogę spróbować, mam ich sporo.

– Poczekaaj, może uda mi się przerzucić do ciebie wodę.

– Ale jak?



– Mam pełno foliowych worków. Napelnę wodą, zawiążę i rzucę.

– Serio? – W głosie Hawy wybrzmiewa nadzieja. – Byłoby nieźle.

Jak zaplanowałam, tak robię. Wkładam trzy worki jeden w drugi, napelniam do połowy wodą i zawiązuję mocny supeł. Paczuszka jest dosyć ciężka i stabilna. Powinna wytrzymać lot i uderzenie – przewiduję, że mogę nie trafić idealnie we wnękę. Staję po przeciwnej stronie ściany z otworem wentylacyjnym, biorę zamach od dołu i rzucaam. Nic z tego. Nie doleciało do sufitu. Ale worki wytrzymały. Po paru próbach czuję, że to nie wyjdzie. Worki pękły i woda się wylała. Montuję drugi wodny pocisk. Tak łatwo się nie poddam. Zmieniam technikę rzutu i... Udało się! Worek wpada we wnękę, a po chwili słyszę entuzjastyczny pisk Hawy.

– Ojej! Dziękii! Picie!!!

Boże! Cieszę się wraz z nią jak dziecko.

– Jesteś bardzo miła. Dziękii, dziewczyno z Polski. Już mam odpowiedzieć, że ona też jest okej, ale słyszę zbliżające się kroki.

– Cicho, ktoś idzie. Schowaj wodę – uprzedzam Hawę.

Jest jak zawsze: strażnik każe mi stanąć tyłem do drzwi, a po chwili na posadzce ląduje mój skromny posiłek. Dzisiaj chleb, trzy daktyle i kawałek białego sera owinięty w papier pergaminowy. Zjadam wszystko od razu, na jakiś czas zapominając o Hawie. Skoro ja dostałam jedzenie,



ona pewnie też. Słyszałam, że drzwi jej celi za-
zgrzytały.

– Co dostałaś do jedzenia? – pytam po chwili.

Odpowiada mi milczenie. Jeszcze kilka razy za-
gaduję, lecz po drugiej stronie ściany panuje ni-
czym nieskalana cisza. Czyżby wypuścili Hawę?
Jest mi cholernie przykro, bo jednak różniej we
dwie. Przykro i głupio, bo mimo wszystko ja mam
wodę, a Hawa nie miała. To dobrze, że mogła opu-
ścić izolatkę. Może mnie też w końcu wypuszczą?

Mijają godziny. Przychodzi pora lunchu, potem
krótko drzemię i nagle jak nie huknie! Podskakuję
na materacu, siadam i szeroko otwieram oczy.

To były drzwi, ale nie u mnie, tylko w sąsiedniej
celi. Czekam moment i cicho pytam:

– Hawa, to ty?

– Tak – odpowiada jękliwie.

– Co się stało?

– Nic takiego. Oberwałam pałką. Byłam w biu-
rze prokuratora. Na rozmowie.

– I co?

– Nic. Nie przyznałam się. Nigdy się nie przy-
znam.

– Ale do czego?

– Coś ci powiem, tylko ani pary z ust. – Zni-
ża głos. – Handlowałam tym i owym. Żadnych
świństw, zazwyczaj trawka, czasami amfa, ale bez
twardych dragów. Chcą mnie wrobić jak ciebie, że
handlowałam koką.



– Ale ja niczym nie handlowałam. W życiu nie przyznam się do czegoś, co nie miało miejsca.

– Miałaś twardy towar. W walizce. Wybacz, słonko, ale koka to nie cukier puder.

Skąd ona wie, że w woreczku była kokaina?! W mojej głowie uruchamia się alarm. Co jest grane? Kim jest ta dziewczyna?

– Mój prawnik radzi, żebym się przyznała, wtedy sąd łaskawiej patrzy – nawija dalej. – Kiedy trwa ramadan, bywa, że emir Dubaju ogłasza amnestię. Może będę mieć szczęście i wytypują mnie do zwolnienia. *Inshallah*.

– W ramadan zwalniają więźniów? – Upewniam się, że dobrze zrozumiałam jej nieco chaotyczną wypowiedź.

– Po ramadanie. Nie wszystkich, tylko część skazanych dostaje amnestię. Ale najpierw musi być wyrok i rozprawa.

– Nie miałaś rozprawy?

– Nie.

– Czemu?

– Bo się nie przyznałam do winy.

– To tak jak ja.

Przez chwilę żadna z nas się nie odzywa. Muszę zebrać myśli, a trudno to zrobić, jeśli człowiek od prawie miesiąca siedzi sam, z nikim nie rozmawia i nie ma żadnej aktywności. Powoli zmieniam się w cuchnące zombie. Nie pamiętam, jak pachnie mydło. Aż dziwne, że jeszcze nie załęgły się tutaj



wszy i pluskwy. Może uznały, że nie jestem warta zachodu.

– Co teraz? – pytam w końcu.

– Chyba się przyznam.

– Do czegoś, czego nie zrobiłaś?

– Nie mam wyjścia. Ty też. Inaczej obie tu zgnijemy. Jutro powiem strażnikowi, że chcę zeznawać.

– Oni z nami nie gadają – zauważam.

– Gadają. Jeśli powiesz, że chcesz zeznawać, na pewno zaberą cię do biura prokuratora. Wystarczy zgłosić taką chęć.

– Nie będę kłamać. Nie namówisz mnie.

– Chora jesteś? – Śmieje się. – Nie mam zamiaru cię namawiać. Twoja sprawa, co zrobisz. Tylko pamiętaj, że tutaj czasu, który spędziłaś w areszcie, nie zaliczają na poczet wyroku, jak u was.

– Skąd o tym wiesz? – pytam. Jestem pewna, że Hawa to ktoś z policji. Podstawili ją, żeby przekonała mnie do zmiany zdania. To podstęp. – Skąd wiesz, że w walizce był woreczek z kokainą?

– No przecież sama o tym mówiłaś – dziwi się szczerze. – Odbiło ci w tej izolatce?

– Nie mówiłam.

– Mówiłaś. Że ktoś podrzucił do twojej walizki woreczek z narkotykami.

– Narkotyki to nie tylko kokaina.

– No weź. – Prycha. – To co? Heroina? Kto tego używa w ZEA? Nikt. A zresztą jak nie chcesz ze mną gadać, nie musisz.



– A skąd wiesz, że w Polsce zaliczają areszt na poczet wyroku? To trochę podejrzane, nie sądzisz?

– Nieźle ci odbiło. Nic o mnie nie wiesz. Nie wiesz, co robiłam i z kim pracowałam. Co jeśli miałam agencję modelek i hostess? Jak myślisz: skąd przyjeżdża najwięcej lasek? No właśnie, z Europy. O różnych rzeczach się gada, najczęściej, wiadomo, ciuchy, imprezki, faceci, ale czasami rozmawialiśmy o poważnych sprawach. Zatrudniałam Słowaczkę, ładna dziewczyna. Podobna trochę do żony Trumpa. Kojarzysz?

– Tak – odpowiadam zdawkowo, czujna i skoncentrowana. Nadal nie mam pewności, że Hawa to nie ktoś podesłany, żeby mną manipulować.

– Miała na imię Anabela. Jej matka trafiła do aresztu za długi, ale zaraz po wyroku wypuścili ją na wolność, bo zdążyła odsiedzieć cały wyrok z nawiązką. Zapamiętałam, a ty snujesz podejrzenia. Ech.

– Sorry. Nie chciałam cię obrazić – odpieram, ale swoje wiem.

Coś mi nie pasuje w tej kobiecie. W sumie nic o niej nie wiem, więc jak mam wysnuć wnioski.

– Ile masz lat? – pytam.

– Prawie czterdzieści, a ty?

– Niecałe trzydzieści.

– Pierwszy raz w Dubaju?

– Nie. – Postanawiam trzymać język za zębami i skupić się raczej na pytaniach niż na odpowiedziach. – Jesteś muzułmanką?

– Tak. Ty pewnie katoliczka?



– W Polsce prawie wszyscy są katolikami. Dziewięćdziesiąt procent ludności – mówię, choć nie jestem pewna, czy mam rację. – Tutaj lepiej traktują muzułmanów?

– Zależy. Na pewno dostajemy lepsze żarcie i możemy kupować jedzenie w kantynie. No ale wiadomo, nie podczas pobytu w izolatce. Na to nie licz. – Śmieje się. – Nawet jak masz kasę, nikt nie pozwoli ci stąd wyjść i zrobić zakupów. Jadłaś coś dzisiaj?

– Tak. Dają mi śniadania i lunch. Dwa razy dziennie dostaję jedzenie.

– Trochę słabo. Ja w ogóle nic nie dostaję, ale mam resztkę wody. Strażniczka mi dała butelkę. Do jutra wytrzymam.

– Mogę spróbować ci rzucić więcej wody.

– Na razie nie trzeba. Lepiej pomyśl, czy się nie przyznać.

Znowu! Czuję presję z jej strony. Ciągłe wraca do tej samej kwestii.

– Czemu miałabym tak zrobić? To mi się nie opłaca.

– Przecież mówiłam. Nareszcie będzie rozprawa, wyrok i szansa na amnestię.

– No dobrze, mówiłaś, ale sama robisz co innego. Nie przyznałaś się. Byłaś u prokuratora i nie przyznałaś się.

– Jutro to zrobię.

Ona milczy, ja też. Coś mi tu śmierdzi i nie jest to kibel. Swoją drogą, udało mi się go w miarę



doczyścić. Codziennie wlewam do niego kilkanaście worków wody i powoli zaczynam widzieć biel ceramiki. Jeszcze rok i będzie czysty jak ta lala. Szkoda, że moje ciało prezentuje się coraz gorzej.

– Masz może mydło? – pytam.

– No coś ty. Po co mi mydło, jak nie mam wody? – Rechocze. – Do jedzenia?

– Nie dali mi mydła i pasty do zębów.

– Pieprzone gnoje. Ile tu siedzisz?

– Długo, ponad trzy tygodnie.

– To nie jest długo. Wiesz, jakie wyroki grożą za narkotyki? Za handel można dostać dożywocie albo sznur. Karę śmierci, słonko. A ty mówisz, że trzy tygodnie to długo. Nawet rok czy dwa lata to nie jest długo.

Aż mnie zatyka z przerażenia. A jeśli faktycznie planują mnie tu trzymać przez rok? Mam co jeść i pić, jest kibel. Wystarczy, by przetrwać przez rok, ale ja już świruję. Już!

– W więzieniu jest lepiej niż tutaj? – odzywam się znowu.

– No pewnie. W celi masz współosadzone, same baby, nie liczy, że towarzystwo jest mieszane. Kobiety siedzą z kobietami, mężczyźni z mężczyznami. Można wychodzić z celi, kupować w kantynie, jest biblioteka i stołówka. Są spacery na dziedzińcu i łaźnia dla bab. My korzystamy częściej, faceci mają prysznic raz w tygodniu. Ty w ogóle wiesz, gdzie jesteśmy?

– Nie pamiętam.



– Więzienie Al-Sadr. Najgorsze w całych ZEA.
Prawdziwe gówno.

– Nie kłamiesz?

– W jakim sensie? Gadaj jaśniej.

– Nie jesteś... Nie jesteś z policji?

– Ty chyba zwariowałaś. – Hawa zaczyna się głośno śmiać.

Już mam powiedzieć, że to tylko żart, ułagodzić ją, bo zdradziła mi sporo informacji – zakładam, że prawdziwych – kiedy nagle słyszę głośny tupot w korytarzu i zgrzyt metalowych drzwi. To drzwi jej celi. Wszystko dzieje się naraz: krzyk jakiegoś mężczyzny, odgłosy uderzeń i nieludzkie wrzaski mojej sąsiadki. Jestem sparaliżowana ze strachu. Chciałabym zatkać uszy i odciąć się od tego, co się dzieje tuż za ścianą, ale to tchórzostwo. Nagle zapada cisza. Do moich uszu docierają jedynie ciche jęki i czyjś zasapany oddech. Potem szuranie, jakby ktoś ciągnął coś ciężkiego po podłodze. I znowu huk drzwi.

Do rana czuwam skulona w kącie izolatki.

I modlę się...

Rozdział 2

Ze snu wyrywa mnie zgrzyt drzwi. Od razu otwieram oczy i siadam. W mojej jaskini pojawił się obcy. To mężczyzna w uniformie, z twarzą zakrytą maseczką.

Człowiek. Powinnam się bać?

– Wstawaj! – pada komenda. Podnoszę się powoli. Musiało go to zirytować, bo doskakuje i chwytają za moje ramię. – Ruszaj się! Szybko!

Nawet nie mam szans się rozejrzeć po korytarzu. Jestem z pośpiechem wleczone przez dwóch silnych facetów – ten drugi czekał za drzwiami, a teraz pomaga koledze.

– Wychodzę na wolność? – Tyle udaje mi się wydusić.

Odpowiada mi ryk śmiechu. Mężczyźni wymieniają kilka słów, oczywiście po arabsku, i to byłoby wszystko z ich strony.

Prędko docieramy na koniec korytarza, strażnik otwiera ente z kolei metalowe drzwi i wpycha mnie do środka.



– Masz dziesięć minut! – warczy. – Zmień ciuchy, słyszysz?

No pewnie, że słyszę. Inna kwestia, czy cokolwiek z tej sytuacji rozumiem.

Pomieszczenie to coś w rodzaju łaźni. Zauważam natrysk, dziurę w posadzce i umywalkę. Na drewnianym taborecie leżą złożone w kostkę ubrania. Ale nimi zainteresuję się później, na razie czeka mnie prawdziwa rozkosz! Są: mydło, szczoteczka do zębów i pasta. Na półce obok umywalki znajdują plastikowy grzebień zapakowany w foliowy woreczek oraz wściekle zieloną frotkę.

Nie trzeba mnie zachęcać, żebym skorzystała z całego dobrodziejstwa tej magicznej komnaty. Już się zupełnie obudziłam, zdejmuję brudne rzeczy i rzucam na posadzkę. Pewnie z oszczędności nie zawieszono tutaj lustra, ale to dobrze. Lepiej, żebym się nie widziała, bo jeszcze dostanę zawału na swój widok. Jest ciepła woda! Biorę prysznic, myję włosy i zęby, a wszystko to naraz. Boję się, że nie zdążę! Co to jest marne dziesięć minut? Tyle co nic.

Zapomnieli zostawić ręcznik. Wycieram się papierem toaletowym i wkładam czyste ubrania. Śmierdzą czymś obrzydliwym. Kojarzę ten zapach. Za dzieciaka byłam w sanatorium – właśnie tam czułam to świństwo. Mama powiedziała, że to lizol, specjalny płyn do dezynfekcji pomieszczeń. Cóż, w ZEA użyto go zamiast lenora. Mój nowy strój stanowią: bawełniane majtki, koszulka bez rękawów, spodnie ściągnięte w pasie sznureczkiem i długa tunika.



Stopy wsuwam w granatowe japonki. Średnio pasują kolorystycznie do ubrań przypominających barwą ni to cegłę, ni to keczup. Ale dobre i to.

Nareszcie jestem czysta. Włosy umyte mydłem za cholere nie dają się rozczesać. Nie ma opcji, nie wbiję grzebienia. Rozdzielam je palcami i upinam w koczek nad karkiem.

Zdażyłam w ostatnim momencie. Drzwi się otwierają i do środka zagląda strażniczka.

– Jesteś gotowa? – pyta po angielsku całkiem miłym tonem.

Czuję się zaskoczona. Czyżby pracował tu ktoś normalny?

– Tak.

– No to chodź. Aha, zabierz te rzeczy. – Wskazuje na grzebień i pastę do zębów. – Mydło też. – Zauważyła je na posadzce pod natryskiem. – Wszystko jest twoje. Nie zgub.

Chyba żartuje. Będę pilnować tych rzeczy jak oka w głowie.

Wychodzę, trzymając kurczowo mój dobytek, tylko brudne ciuchy tam zostały, ale to na polecenie strażniczki. Byłam pewna, że wrócę do izolatki, lecz idziemy w inną stronę. Docieramy pod drzwi celi. Są otwarte na oścież, a w środku nikogo nie ma.

– To twoja nowa miejscówka. Zostaw rzeczy na łóżku i chodź. Szybko.

Układam swoje skarby na kocu i wychodzę z celi. Strażniczka zamyka drzwi na klucz i rzuca wyjaśniająco:



– Wszystko ukradną, jeśli nie zamknę.

Kto ukradnie? Tego nie wiem, ale nie mam śmiałości spytać.

Maszerujemy dalej. Przemierzamy kolejny długi hol i docieramy do niewielkiej salki. Jest prawie pusta, jedyne umeblowanie stanowią kwadratowy stolik oraz dwa plastikowe krzesła.

– Siadaj. Zaraz dostaniesz posiłek.

Faktycznie, otrzymuję jedzenie. To coś ciepłego! Boże! Dostałam ciepłe jedzenie! Na stole wyładowała taca, a na niej miseczka z kurczakiem w aromatycznym grzybowym sosie i trzy chlebki roti. Do picia jest butelka soku owocowego. Jem, podczas gdy strażniczka siedzi na krześle po drugiej stronie blatu i klika w smartfonie.

– Zjadłaś? – Zauważa kątem oka, że odłożyłam widelec.

– Tak. Dziękuję, było bardzo smaczne.

– A kogo to obchodzi? – Przewraca oczami.

Koniec uprzejmości? Ciężko wzdycham. Zbieram się na odwagę i zagaduję:

– Mogę o coś spytać? Czy wypuszczacie mnie na wolność?

– Dobry żart. – Prycha. Jej angielski jest szorstki jak żwir zmieszany z piachem. – Będziesz mieć wizytę. Ktoś z waszej ambasady.

– Aha. Dziękuję.

Dławi mnie w piersi ze szczęścia. Wytrzymałam! Przetrwałam piekło izolatki, długie tygodnie spędzone w samotności. Bo przecież nie liczę tych



paru dni, podczas których mogłam pogadać z innymi kobietami osadzonymi za ścianą. Hawa już nie wróciła, nie wiem, co się z nią stało, ale po niej były jeszcze trzy dziewczyny, każda tylko jedną dobę. Pamiętam imiona: Khalida, Nudhar – jej imię oznacza „złoto” – i swojska Katarina, czyli Katia, prawie rodaczka, bo z Rosji. Ta ostatnia odsiaduje tutaj pięcioletni wyrok i wkrótce ma zostać wypuszczona. Z Khalidą niewiele rozmawiałam, bo jej angielski był słaby, ale Nudhar mówiła płynnie. Wszystkie wylądowały w izolatce za karę: były nieposłuszne, pyskowały dozorczyńcom albo się awanturowały z innymi osadzonymi.

– Radzę trzymać język za zębami – ostrzega mnie strażniczka. – Nie wolno źle się wyrażać o naszym Królestwie. Zapamiętasz?

– Tak, zapamiętam. – Przelykam ślinę.

Pewnie widzi, że jestem bardzo przejęta, bo parska śmiechem i z politowaniem kiwa głową.

Zabiera tacę z pustymi naczyniami i wychodzi, zamykając za sobą drzwi. Ile mam tutaj czekać? Rozglądam się z nudów, wstaję i podchodzę do zakratowanego okna. Przez niezbyt czystą szybę widzę spory ni to dziedziniec, ni to plac. Jest pusty, tylko wiatr znad pustyni przemiata po nim chmury żółtego pyłu.

Odwracam się, usłyszawszy zgrzyt klamki. Do środka wchodzi ta sama strażniczka, która się mną zajęła, i niewysoki mężczyzna w średnim wieku. Wystarczy gniewne spojrzenie kobiety, żebym



grzecznie usiadła na swoim miejscu. Człowiek z ambasady zajmuje miejsce po drugiej stronie stolika i uśmiecha się do mnie przyjaźnie. Jeśli liczyłam, że zostaniemy sami, mogę sobie podarować. Mamy towarzystwo – strażniczka staje przy drzwiach, wyjmuje telefon i znowu w nim klika. Oby przeglądała coś głupiego, social media albo ofertę sklepu internetowego.

– Nazywam się Łukasz Wiśniewski, jestem prawnikiem i pracuję w polskiej ambasadzie w Abu Zabi jako jeden z konsulów – przedstawia się po polsku.

Oddycham z ulgą, uświadomiwszy sobie, że jednak zachowamy dyskrecję. Nie sądzę, by ta kobieta знаła nasz język.

– Dzień dobry. Mam na imię Iza. Izabella Sarnecka.

– Tak, wiem, pani Izo. – Prawnik kładzie teczkę na blacie i wyjmuje z niej cienki plik dokumentów.

Gdy na nie zerkam, zauważam, że to kserokopie protokołów z przesłuchań.

– Dziękuję, że pan przyjechał mi pomóc – chrypię.

– Szczerze? – Nachyla się i konfidencjonalnie zniża głos. – Nie mieliśmy pojęcia o pani istnieniu. Kilka dni temu do ambasady zadzwoniła anonimowo pewna kobieta i przekazała, że od miesiąca przebywa pani w areszcie na lotnisku w Dubaju. Oczywiście natychmiast to sprawdziliśmy. Okazało się, że już dawno została pani przewieziona tutaj.

– Kim jest ta kobieta?



– Rzecz w tym, że się nie przedstawiła – przypomina.

– Ma pan jakieś podejrzenia?

– Szczerze mówiąc, przychodzi mi do głowy jedynie ktoś z personelu lotniska. Może jakaś ochro- niarka albo celniczka? Wiedziała, że ma pani kłopoty, i ruszyło ją sumienie? Nie mam pojęcia. Najważniejsze, że panią odnalazłem. Mamy mało czasu, najwyżej pół godziny, trzeba się streszczać. Dlatego zanim tu przyjechałem, zapoznałem się dogłębnie z aktami sprawy. Nie wygląda to dobrze, pani Izo. W pani krwi odkryto ślady... – Ucina. – Ślady substancji zakazanych.

Od razu się domyślam, czemu nie użył słowa „mefedron”. Ten wyraz po angielsku brzmi tak samo, a Wiśniewski chyba woli zachować temat rozmowy tylko dla nas dwojga.

– Tak. We krwi i we włosach – precyzuję. – Zbadali włosy po tym, jak odmówiłam zgody na pod- pisanie protokołu z przesłuchania. Był po arabsku, a ja nie znam tego języka. Chcieli, żebym go po- twierdziła odciskiem kciuka.

– To powszechna praktyka, zwłaszcza wobec osadzonych z obcych krajów. Tak czy owak, wyniki są jednoznaczne. Na domiar złego w pani walizce też coś się znalazło.

– Wiem, ale to nie moja rzecz. Ktoś ją podrzucił.

– Na pewno?

– Przysięgam. – Przykładam pięść do serca. Strażniczka zauważa ten gest i zerka znad ekraniku



smartfona, ale szybko wraca spojrzeniem na wyświetlacz. – To nie moje, ktoś włożył woreczek do walizki. Nie wiem kto, ale mam pewne podejrzenia – mówię cicho i bardzo szybko, żeby trudniej było mnie zrozumieć. – Zanim wyjechałam z kraju, gdzie mieszkał mój mąż... Wie pan, kto to jest?

– Tak.

– Zanim wyjechałam, zostałam rozwiedziona, miałam wrócić do Warszawy, leciałam zwykłym lotem rejsowym, zatrzymano mnie na lotnisku, przeszukano mnie i mój bagaż. Przypuszczam, że to sprawka mojego męża. Chciał się na mnie zemścić i ktoś ze służby wsadził woreczek do walizki, a potem na mnie doniesiono.

– Jak panią tutaj traktują? – zmienia temat.

– Fatalnie. Cały czas jestem w izolatce, dostaję do głowy. – Wzdycham. – Jestem głodna, tylko dwa posiłki na dobę. Cella jest mała. – Naprędce opisuję swoje warunki życiowe. – Ale dzisiaj pozwolili mi wziąć prysznic. Umyłam zęby pierwszy raz od miesiąca.

– Nie do wiary. – Wiśniewski kręci głową. – Czy wyjaśnili pani, czemu jak na razie nie było rozprawy?

– Nikt ze mną nie rozmawiał.

– Była pani w biurze prokuratora złożyć zeznania?

– Nie.

– A w sądzie federalnym?



– Nie. Odmówiłam przyznania się do winy, przewieźli mnie tutaj, siedziałam w izolatce, to wszystko. Proszę poczekać, coś sobie przypomniałam.

Opowiadałam w wielkim skrócie rozmowy z Hawą i dopytuję, czy to, co mówiła, ma sens. Zdradzam swoje obawy, że ją podstawili, żeby na mnie wpłynąć.

– To nie tak. – Pracownik ambasady drapie się po podbródku. – Sprawdziłem akta. Nie było rozpraw, ale niedawno odbyły się dwa posiedzenia przygotowawcze. Pani obrońca z urzędu dwukrotnie nie stawiał się na te spotkania.

– Mam obrońcę z urzędu?

– Każdy ma. Nikt z panią o tym nie rozmawiał?

– Nie, nikt. Proszę posłuchać, mam pieniądze, mogę opłacić dobrego prawnika. Tylko proszę kogoś znaleźć.

– Nie, to zły pomysł. Jeśli wynajmie pani komercyjnego obrońcę, sąd odbierze to jako przyznanie się do winy. Żadnych prywatnych prawników i adwokatów, ani stąd, ani tym bardziej z Polski. Proszę nawet o tym nie myśleć – gasi mój zapal.

– Szkoda – szepczę. Myślałam, czyby go nie poprosić o powiadomienie Dawida Ancera, ale teraz widzę, że tu panują zupełnie inne zwyczaje niż w Polsce. – Czas aresztu nie jest zaliczany na poczet wyroku?

– Niestety nie.

– Boże, siedzę tu na próżno...



– Spokojnie. Proszę się nie martwić na zapas. Teraz już wiemy o pani i nie pozwolimy, żeby została z tym sama. Obiecuję. Wpłynę na władze więzienne, żeby poprawiono pani warunki bytowe. Nie może być tak, że siedzi pani w izolatce.

– Pewnie wyglądam jak bezdomna narkomanka.

– Nie jest tak źle. Piękna z pani kobieta, pani Izo. Ale do rzeczy. Pozwolili pani zadzwonić do rodziny?

– Nie.

– Rodzina wie, że została pani aresztowana?

– Na szczęście nie wiedzą. Mama umarłaby na zawał.

– Jak rozumiem, mam nie informować bliskich o osadzeniu.

– Nie. Błagam, oni nie mogą się dowiedzieć, jeszcze nie teraz.

– Bez obaw, nie zrobię niczego, co może pani zaszkodzić. A jak opieka medyczna? Bierze pani leki? Cierpi na przewlekłe choroby?

– Nie, na nic nie cierpię. Może mam doły psychiczne, ale w tym miejscu to norma.

– I tak dzielnie się pani trzyma. – Nie kryje podziwu. – Nie znałem dotychczas równie twardej kobiety, pani Izo.

– Gdyby pan przeszedł to co ja, też byłby pan twardy. Gdy mnie przyjmowali na oddział, zostałam rozebrana do naga, prześwietlona, zbadana z każdej strony. W środku też. – Przelykam gułę w gardle. – Przemieszczałam się, mając nogi spięte łańcuchem, a na ręce założyli mi kajdanki. Przesłuchiwali mnie



kilka razy, za każdym próbując wymusić przyznanie do winy. Wymuszali na mnie zgodę na podpisanie oświadczenia, że zajmuję się handlem tymi substancjami. Nie zgodziłam się, wtedy zostałam osadzona w izolatce. Jestem zaszczuta, głodna i brudna. Dziś pierwszy raz umyłam zęby.

– Wspominała pani.

– Dopiero dzisiaj dali mi mydło. – Mój głos drży.

– Jestem z panią, pomogę. Czy chce pani odwiedzin kapelana? Jest pani wierząca?

– Tak.

– Mogę załatwić takie odwiedziny, ale od razu uprzedzam: tutaj nie wolno publicznie praktykować żadnej wiary poza islamem, a wizyty księży są niezbyt mile widziane.

– To nie jest konieczne – mówię bez namysłu. – Zależy mi na pana pomocy, panie Łukaszu. Jeśli pan zniknie, umrę tu. Stracę nadzieję. – Co rusz przelykam ślinę, żeby się nie rozryczeć.

– Proszę mi powiedzieć, skąd się wzięły te środki w pani organizmie. – Znow wraca do powodów aresztowania. – To były śladowe ilości pewnego środka na literę em oraz tego, który został znaleziony w walizce.

– Mój były małżonek zażywał takie specyfiki, podał mi podstępem to coś na literę em, mówiąc, że to popularny lek przeciwbólowy i przeciwgorączkowy. Biały proszek został mi przekazany z ust do ust, poprzez pocałunek.



– Interesujące. – Marszczy brew.

– Nie wierzy mi pan?

– Wierzę. Nie takie rzeczy tu widziałem, droga pani. Czyli, jak wnioskuję, nie miała pani świadomości, że ma w krwiobiegu te substancje.

– Co do em: na pewno nie. A co do proszku: podejrzewałam, ale wypierałam to. Chciałam wrócić do kraju, nie myślałam o konsekwencjach. Co mi grozi? Niech pan powie, chcę znać prawdę.

– Muszę się rozeznąć. A teraz najważniejsze, żeby...

– Koniec czasu! – przerywa mu strażniczka.

Co za małpa. Nic nie daje wyrażona grzecznie przez prawnika prośba, żeby pozwolono nam dookończyć rozmowę. Wiśniewski pakuje teczkę i żegna się ze mną skinieniem głowy, ale zanim wychodzi, mówi szybko, że odwiedzi mnie za równy tydzień. Boże, jak ja wytrzymam tyle czasu? Teraz, kiedy zostałam wyrwana z tego stuporu, czuję przypływ nadziei, że kiedyś opuszczę ten czyściec.

– No chodź! Na co czekasz? Na deser? – powarkuje strażniczka, wróciwszy do mnie.

Wstaję i idę za nią. Wracamy do celi, w której zostawiłam swoje skarby. Są tam, leżą na łóżku nietknięte. Za moimi plecami zatrząskują się drzwi, ale mam dzisiaj dobry dzień i nic nie jest w stanie tego zmienić. W tej celi warunki są o niebo lepsze niż w izolatce. Wprawdzie nie zauważam śladów bytności innych osadzonych – wszystkie cztery łóżka są nieużywane, pozbawione pościeli, a tylko



moje ma materac – ale... jest okno! Jest również coś na kształt łazienki, czyli wydzielony kąt za zasłonką z grubej folii, a tam dziura w podłodze i natrysk. Sprawdzam, czy woda jest ciepła. Hurra! Mam ciepłą wodę, łóżko i okno! No i mydło, pastę, szczoteczkę, grzebień. Tyle wygrać.

Kładę się na pryczy i leżę wpatrzona w poszarżalą biel sufitu. Czuję napływ nowych sił. Co najgorsze, zdaję sobie sprawę, że to przejściowe. Jutro mogę się obudzić w zupełnie innym nastroju. Tak było wczoraj. Miałam straszny zjazd, przepłakałam pół dnia, a potem zasnęłam z ogromnym bólem głowy. Moje emocje nie potrafią się wyklarować, czuję totalne zniechęcenie, a nazajutrz się łudzę, że kiedyś stąd wyjdę. Jak na huśtawce.

„Pracuj nad sobą” – strofuję się w duchu. Znowu robię porównania między własną sytuacją a położeniem ludzi, którzy przetrwali Holocaust. Wiem, to niewłaściwe, idiotyczne i niesprawiedliwe dla tych osób. Nie powinnam profanować ich pamięci, porównując nasze losy. Jestem w zupełnie innej sytuacji, a co gorsza, sama za nią odpowiadam. Sama się władowałam w to całe szambo.

Boże, Justyna zjadłaby mnie na śniadanie albo raczej przeżuła i wypluła. W jej oczach nie zasługuję pewnie na żadną łaskę ani współczucie. Jestem skrajną idiotką, która nie potrafi się kierować rozumem. A co do instynktu samozachowawczego: nigdy go nie miałam.



Lukasz Wiśniewski dotrzymał słowa – nie zapomniał o mnie. Przyjechał po siedmiu dniach, tak jak obiecał, ale nawet przed jego drugą wizytą odczułam dobrodziejstwa jego działań. Przede wszystkim już nie wróciłam do izolatki. Obecnie zajmuję normalną celę, nie tę, do której trafiłam po naszym pierwszym spotkaniu, tylko mniejszą, dwuosobową. Szkoda, że nie ma w niej innej współosadzonej, bo wolałabym mieć koleżankę, lecz to na razie niemożliwe. Czemu? Nie wiem. Strażniczka, która mnie relokowała, była wyjątkowo oszczędna w wypowiedziach.

Nie mam koleżanki, za to mogę się względnie swobodnie przemieszczać po naszym oddziale więzienia. Większość kobiet tutaj zna angielski, więc nie ma bariery językowej. Mogę wychodzić na dziedziniec, bywać raz dziennie w więziennej bibliotece, korzystać ze świetlicy, w której jest telewizor, i robić zakupy w kantynie. Tyle przywilejów na mnie spadło, że na razie nie zdążyłam odwiedzić wypożyczalni książek. Niestety nie mam gotówki, a w kantynie tylko tak można płacić. Trudno.

Dostaję jeden posiłek dziennie więcej i jem oczywiście ze wszystkimi w stołówce. Już zauważyłam, że Hawa miała rację, gdy mówiła o dysproporcji w traktowaniu osadzonych. Swoją drogą, nikt o niej nie słyszał. Może siedzi na innym oddziale, a może była podstawiona. Ale kilka informacji, które mi



przekazała, okazało się prawdą. Muzułmanki są obsługiwane w pierwszej kolejności i otrzymują większe porcje; cała reszta, w tym ja, dostaje połowę tych racji. Częstość czegoś dla nas zabraknie, na przykład mięsa czy owoców dodawanych do obiadu. Mięso, naturalnie *halal*, to produkt deficytowy. Bywa, że załapię się jedynie na jakieś ochłapy. Ale nie narzekam. Są: śniadanie, obiad i ciepła kolacja, picia pod dostatkiem, parę razy dali nam po kawałku ciasta. Już nie chodzę głodna, mam mydło i inne środki higieny osobistej. Szkoda, że w kantynie nie można kupić kosmetyków, sprzedają wyłącznie jedzenie i napoje. Może poproszę prawnika z ambasady, żeby dostarczył mi coś do mycia włosów?

Na pewno przydałyby się: długopis, jakiś notes lub zeszyt i kilka zmian bielizny. Nie wiem, czy nie spalę się ze wstydu, mówiąc Wiśniewskiemu o majtkach, ale moja desperacja jest coraz większa. Oczywiście dziewczyny, z którymi jem posiłki, wyśmiały mnie, kiedy spytałam, do kogo powinnam zgłosić zapotrzebowanie na różne niezbędne rzeczy, na przykład skarpetki czy kilka par fig. Wadziha – korpulentna trzydziestolatka odsiadująca długi wyrok za fizyczny atak na sąsiadkę, która w wyniku bójki straciła oko – prawie spadła z ławki, kiedy spytałam o dezodorant.

Mimo to nie narzekam, nawet jeśli trochę mi dokuczają. Wypytały mnie o wszystko, a teraz się śmieją, że jestem biała, ładniutka i zachowuję się jak królowa, bo żyję sobie odżywką do włosów i świeżych



majtek. Szybko jednak zyskałam szacunek, bo niedawno powiedziałam, że siedziałam ponad miesiąc w izolatce. To zamknęło im usta. Tydzień to bardzo długi wyrok i okrutna kara, co dopiero miesiąc. Musiałam im wytłumaczyć, jak wytrzymałam tak długo. Powiedziałam, że dużo się modliłam, chyba najwięcej w życiu, a teraz, kiedy to już za mną, myślę, że tylko Bóg dał mi siły, żeby przetrwać. Staram się nie wracać pamięcią do tych dni, próbuję się odnaleźć w nowej, trochę lepszej rzeczywistości. Nie opuszczam gardy, ale podskórnie czuję, że to jeszcze nie koniec.

Że zło powróci...

Rozdział 3

Pani Izo, mam dla pani kilka wiadomości. Dobrych i złych, jak w dowcipie o babie i lekarzu. – Wiśniewski uśmiecha się kwaśno. – Z dobrych: uzyskałem przyrzeczenie władz więzienia, że będzie pani mogła raz w tygodniu zadzwonić do rodziny. Musi pani wytypować jedną osobę, podać mi numer telefonu tej osoby, a ja zgłoszę go do odpowiedniego człowieka.

Czy to jest dobra wiadomość? Kiedy pomyślę, że zadzwonię do mamy, a ta zmyje mi głowę, robi mi się słabo. Od ponad miesiąca nie dałam znaku życia, nikt nie wie, co się ze mną dzieje – ani Tomek, ani mama. Chyba że Omar poinformował ich o moim aresztowaniu, ale to mało prawdopodobne. Zatem zadzwonię do mamy, przeproszę, coś wymyślę, żeby uzasadnić milczenie, a potem będę musiała wysłuchać kilkuminutowych wyrzutów – w wariacie pozytywnym – lub szlochów i zawodzeń, że jestem niewdzięczną i wyrodną córką – to w wersji pesymistycznej.



*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

